

Chłopak stąd

Jeśli dostanę się do nieba, to tam też będę śpiewał. Będziemy grać dla Wszechmogącego, Elvis Presley oczywiście w pierwszym rzędzie – planuje piosenkarz **KRZYSZTOF KRAWCZYK**.

Justyna Muszyńska-Szkodzik: - Właśnie ukazał się pana 107. krążek pt. „Pół wieku człowieku”. Jakiego Krawczyka usłyszymy na tej płycie?

Krzysztof Krawczyk: - Pięćdziesięciolecie pracy na scenie zmobilizowało mnie do tego, żeby pokazać całą eklektyczność artystycznego warsztatu. Na albumie znalazło się 17 piosenek. Są zróżnicowane stylistycznie. Oczywiście, to nie jest przełomowa płyta, tak jak było w przypadku, gdy współpracowałem z Bregovićem czy Smolikiem. To raczej podsumowanie mojej drogi. Od dawna kieruję się prostą zasadą: chcę łamać konwencje i nie dać się zaszufłakować, dlatego na nowym krążku obok utworów country pojawia się muzyka reggae. Do tego jest ballada o miłości, a nawet utwór o... gotowaniu – zabawna piosenka, w której słychać głos rapującego Norbiego.

Znany jest pan z ciekawych muzycznych duetów. Teraz nagrał singiel z Ras Lutą - liderem polskiej sceny reggae. Dlaczego lubi pan dzielić scenę z innymi?

- Śpiewanie w duetach to dla mnie praca polegająca na wzajemnym uczeniu się. Ale żeby to się udało, musi pojawić się między artystami pewna serdeczność i zrozumienie. Ras Luta, właściwie Adam Tersa, grał kiedyś z zespołem przed moim koncertem. Ich muzyka bardzo mi się spodobała. Kiedy im podziękowałem ze sceny za występ, ośmieleni taką reakcją zgłosili się do mojego menedżera z propozycją wspólnego grania. Mój menedżer, który jak to mówią Amerykanie: „wyczuwa smażony bekon”, od razu się zgodził. I najpierw ja zaśpiewałem na płycie Ras Luty, a później jego zespół nakręcił ze mną teledysk „Pół wieku człowieku”, który już tydzień przed premierą osiągnął blisko 133 tysiące wyświetleń na YouTube!

Po wydaniu płyty czas na trasę koncertową. Gdzie w regionie łódzkim można pana posłuchać?

- Jubileuszowa trasa koncertowa właściwie cały czas trwa. W Łodzi będziemy grali jesienią w Teatrze Muzycznym, z którym łączy mnie sentyment, bo tam pracowali moi rodzice. Zazwyczaj gram też charytatywny koncert dla niepełnosprawnych dzieci, który organizuje ksiądz Turek w Teatrze Wielkim.

Co z perspektywy 50 lat na scenie jest dla pana najważniejsze w pracy artystycznej?

- Przetrwać i starzeć się z klasą. Sukcesem jest już samo wykonywanie zawodu piosenkarza przez tyle lat. Świat pędzi naprzód, zmieniają się mody, można się w tym pogubić. Od dłuższego czasu staram się wybierać jasną stronę życia, ale nie zawsze tak było. Teraz Bóg jest dla mnie na pierwszym miejscu. Traktuję poważnie dekalog, siedem błogosławieństw, bo naprawdę wystarczy odrobina silnej woli, żeby za tym nadążyć.

Pana rodzice byli aktorami, a przed laty zagrał pan w kilku filmach, m.in. w „Szatanie z siódmej klasy”. Myślał pan o karierze aktorskiej?

- Kto wie, może zostałem aktorem, gdyby mój ojciec nie zmarł tak wcześnie. Ojciec był moim idolem i przyjacielem. Kupił pianino, bo chciał, żebym był pianistą. Roztaczał przede mną wizję, jak, w pięknym fraku, będę wirtuozem fortepianu. Tylko, że ja nie miałem cierpliwości, żeby w szkole muzycznej ćwiczyć przynajmniej godzinę, dwie dziennie. Ojciec namawiał mnie też, abym spróbował aktorstwa. Jednak mnie wtedy zachwyciła gitara. Prosiłem, żeby mi ją kupił, a on powiedział: „dobrze, ale jak poprawisz oceny w szkole”. To motywacja, która zawsze działa. Dostałem pierwszą gitarę.

Lubi pan Łódź?

- Zawsze kochałem Łódź, tu się wychowałem. Łódzka publiczność była mi zawsze bardzo bliska. Uważam, że to jedno z najpiękniejszych miejsc w Europie, z wyjątkową atmosferą i unikatową architekturą. Łódź pięknieje w oczach. Na ulicach jest teraz bardzo kolorowo, widać uśmiechniętych ludzi, piękne dziewczyny. Oczywiście miasto może być jeszcze bardziej zadbane i lepiej wypromowane, ale to w dużej mierze zależy od polityki władz.

Jak wspomina pan przygodę z Trubadurami?

- Nie muszę jej wspominać, bo ona trwa, a moi przyjaciele z dawnego zespołu często mnie odwiedzają, nawet całkiem niedawno byli w Grotnikach. Czasy Trubadurów to był bardzo dobry okres w moim życiu - byliśmy młodzi, roześmiani, ludzie nas oklaskiwali, zawsze graliśmy przy pełnych salach. Gdy wyjeżdżaliśmy na koncerty z zespołem, tworzyliśmy taki „wesoły autobus”. Moja wdzięczność dla Ryśka Poznakowskiego, Sławka Kowalewskiego, Mariana Lichtmana jest ogromna. Z Marianem Lichtmanem łączy nas nawet braterstwo krwi. Pamiętam, że przed laty, gdy włączyliśmy się po Piotrkowskiej, czasami ktoś zawołał do niego: „Ślerek, ty Żydzie” i któregoś dnia Marian, podirytowany sytuacją, powiedział mi, że Polacy to antysemita, że to wysysają z mlekiem matki. Ja mu na to „jacy antysemita, robimy braterstwo krwi, na złość całemu światu!”. Wypiliśmy po pół wina „patykiem pisanego” w bramie i żyletką po rękach trach, trach... Przycisnęliśmy rany do siebie i zostaliśmy braćmi krwi.

Aż 10 lat życia spędził pan za Oceanem, jak dziś ocenia pan ten romans z Ameryką?

- To była dla mnie niezwykła lekcja życia. Ten kraj mnie zachwycił. Ameryka była dla mnie jak matka, która mnie przygarnęła bez żadnych pytań, choć ja tam długo przebywałem nielegalnie. Poznałem ludzi, którzy wyróżniali się z tłumu, byli mistrzami w wielu dziedzinach: w muzyce, sporcie, architekturze, a kornie schylali głowę przed posiłkiem i dziękowali Bogu za każdy kawałek chleba.

W Stanach spotkał pan też swoją żonę Ewę, to była prawdziwa rewolucja w pana życiu...

- Ewunię poznałem w momencie totalnego rozbitcia psychicznego. Uciekałem w narkotyki, nadużywałem lekarstw. Aż pojawiła się kobieta - cud, która wyrzuciła mi te wszystkie świństwa i powiedziała: „Ja będę twoją lekomanią”. To był związek dojrzałego, doświadczonego przez życie faceta z młodą, piękną i bardzo mądrą kobietą. Jesteśmy razem już 27 lat.

Taka miłość się nie zdarza...

- Zdarza się, zdarza, tylko mało się o tym mówi. Znam wiele takich par jak nasza, które wzięły sobie do serca słowa św. Pawła z I Listu do Koryntian: Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest. Miłość nie zazdrości, nie szuka poklasku, nie unosi się pychą...

Po zagranicznych wojazach wrócił pan w rodzinne strony. Jak to się stało, że osiadł pan w Grotnikach-Jedliczach?

- Spotkałem kolegę z lat młodości Tadeusza Przybysza, który poza tym, że jest muzykiem, prowadzi w okolicach Łodzi firmę futrzarską. Po powrocie ze Stanów poprosiłem go, aby znalazł nam w Łodzi odpowiednie mieszkanie. Tadeusz przyjechał specjalnie po mnie na lotnisko i pokazał mi zdjęcie mojego przyszłego domu, właśnie w Grotnikach. Nieruchomość była zaniedbana - do remontu i przebudowy. Przyjacielowi tak zależało, żebym tu zamieszkał, że wziął od nas wtedy tylko 20 procent wartości domu i powiedział: „Krzysztof, resztę mi spłacisz, jak będziesz miał.”

Ksiądz proboszcz grotnickiej parafii - Krzysztof Jezierski powiedział o panu: „Krawczyk jest takim swojakiem”.

- Naprawdę zadomowiłem się w Grotnikach. Utrzymuję kontakt z ludźmi stąd. Od 15 lat jestem w

dobrej komitywie z ojcami oblatami. Pomagałem też w remoncie i rozbudowie tutejszego kościoła. Zorganizowałem koncert, do udziału w którym zaprosiłem gwiazdy polskiej estrady z Haliną Frąckowiak na czele, a dochód z biletów przekazałem na kościół. Czuję się tutejszym parafianinem, w okresie świątecznym śpiewam kolędy wraz z chórem i dziecięcą scholą.

Czuje się pan „chłopakiem stąd”?

- Tak, mam nawet miejsce na grotnickim cmentarzu. Kiedy ostatnio zacząłem się skarżyć księdzu proboszczowi, że kiepsko się czuję, że może pora opuszczać ten świat, proboszcz powiedział: „ale niech się pan tak nie spieszy, bo alejka, przy której ma pan miejsce, jest jeszcze niegotowa”.

Jak się żyje artyście w Grotnikach?

- Bardzo dobrze. Mój przyjaciel, co ten dom „wymyślił”, może do nas wpadać, kiedy tylko chce, podobnie jak ksiądz proboszcz. Mamy tu z Ewą dwa pieski: labradorkę i wielorasowca, którego uratowaliśmy. Mieszka z nami też pani Halinka, która opiekuje się domem, gdy wyjeżdżamy. Mamy wspaniałego ogrodnika, dzięki niemu jest tu nawet mały sad. Tutaj naprawdę jest jak u Pana Boga za piecem.

Przed panem następne 50 lat, przecież nie wybiera się pan na emeryturę. Jakie plany na przyszłość?

- Jeśli przejdę przez tę wąską bramę, o której mówi Chrystus i dostanę się do nieba, to też będę tam śpiewał. Będziemy grać dla Wszechmogącego, Elvis Presley oczywiście w pierwszym rzędzie. Ale nie będę planował tych najbliższych 50 lat, bo jak się okaże, że będę musiał tak grać całą wieczność, to kto wie, czy wcześniej nie zostanę astronautą. A na razie proszę Boga o życie i siłę do pracy. Fani mogą spać spokojnie, bo mam już dwa przemyślane i zaplanowane pomysły muzyczne. Z Andrzejem Kosmalą, moim menedżerem i przyjacielem, pracujemy już ponad 40 lat i chyba bijemy rekord Guinnessa w kategorii „jak długo menedżer może wytrzymać z artystą”. W ogóle mam szczęście do ludzi, z którymi pracuję. Do tego grona należą też Ryszard Kniat – świetny producent i Wiesław Wolnik – niezwykle realizator, kompozytor i multiinstrumentalista. Bez nich nie byłoby Krawczyka. Krawczyka nie byłby też bez troskliwej Bożej opieki i miłości najbliższych, bo, cytując I List do Koryntian: *Gdybym mówił językami ludzi i aniołów, a miłości bym nie miał, (...) byłbym niczym.*